Należność pocztowa opłacona ryczałtem.

№ 9 (378) WARSZAWA, 1 Września 1924 R. ROK XVII

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO ZIĄZKU P.K.O. 8082 ADRES: NOWY-ŚWIAT Nr. 35. TELEFON 7-98

PRENUMERATA: roczna wynosi 6 zł., półroczna — 3 złote, kwartalna — 1,5. Za odsyłanie dolicza się po 5 groszy od numeru, rocznie 60 gr., Numer pojedynczy — 60 gr.

CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona — 40 zł., pół — 25, ćwierć — 15, 1/8 — 8, 1/16 — 5. Pierwsza i ostatnia strona — o 50% drożej

Do Sz. PP. Zalegających

w opłaceniu prenumeraty do końca półrocza pierwszego 1924 r. przesyłamy w numerze jako załącznik, przekaz pocztowy z wypisaną sumą przynależną do końca r. b. po odliczeniu tego, co już przysłali na początku roku w markach polskich, przeliczonych na złote.

Zaznaczamy przytem, że w razie nieotrzymania należności w przeciągu miesiąca, przerwiemy dalszą wysyłkę od Nr. 10-go.

Administracja „Łowca Polskiego"



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 9 (378) Warszawa, dn. 1 września 1924 r. Rok XVII.

Zloty kaczek.



TREŚĆ Nr. 9.

wszczynając teraz właśnie drażniący i niepotrzebny zgoła spór, w sprawie błahej, i śmiesznej trochę. Jeżeli kiedy bowiem, to teraz właśnie potrzebną jest w szeregach naszych zgoda i stanowiąca siłę, jedność. Brońmy się razem i umierajmy z honorem, jeżeli nie danem nam będzie ocaleć z pogromu. Niesłuszne, niesprawiedliwe zarzuty Szan. Autora wydać się musiały tem dotkliwsze, że wyszły ze środowiska, które umiemy cenić oddawna, które kochamy, od którego oczekiwać będziemy zawsze rad i wskazówek opartych na dłuższem i głębszem niż nasze doświadczenie. Słuszne przestrogi nawet gotowi jesteśmy przyjmować z wdzięcznością, byle dyktowała je dobra wola i sprawiedliwość. Sz. Autor jednak wybrednym w doborze argumentów nie jest, a nawet, niech wolno mi będzie ostrzec go po rycersku, w zapale dyskusji, nadstawia komorę sam. Takiem n.p. nieudanym i niebezpiecznym dla niego „sztychem" jest nieostrożne zestawienie „zwyczajów i praw kacapskich" z „dzisiejszą kulturą"! Toż mamy ją właśnie, o niej mówimy. Czy zatrzymać się mam na zestawieniu tem dłużej i porównywać? Byłoby to może bolesnem trochę. Smutna ta dzisiejsza kultura.

Myśliwym p. Janta - Połczyński jest może dobrym, ale daru przekonywania przeciwników i jednania stronników dla swych poglądów, poskąpił mu los. Ein guter Mensch, aber ein schlechter Musikant.

Nie chcąc wkraczać w atrybucje Komitetu Redakcyjnego „Przeglądu Myśliwskiego", język i ton rozprawy pomijam.

STEFAN OSTROWSKI.

W sprawie zwierzostanu tegorocznego.

Kilka słów w sprawie tegorocznego zwierzostanu ptactwa błotnego i wodnego. Sądzę, że nie od rzeczy będzie poinformować ogół myśliwych spostrzeżeniami memi o tegorocznym stanie zwierzyny błotnej i wodnej, na którą sezon polowania rozpoczął się z dniem 1 lipca.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę absolutną ignorancję przepisów łowieckich ze strony policji, przez którą byłem podczas polowania w okolicach Częstochowy (Myszków) kilkakrotnie nagabywany; policja bowiem twierdziła, że zawcześnie poluję na kaczki i kszyki. Udowodniłem im przepisami, zawartymi w karcie łowieckiej, że poluję w czasie właściwym, i wyraziłem jednocześnie zdziwienie z powodu ich ignoracji.

Tegoroczny zwierzostan ptactwa błotnego i wodnego można nazwać średnim. Kaczek w okolicach Częstochowy jest dość dużo, jakkolwiek nie wszędzie. Na dużych i ładnych terenach przy Warcie pod Myszkowem w dzień nie spotykałem kaczek, wieczorne natomiast zloty dają myśliwemu prawdziwą satysfakcję. Najwięcej kaczek spotkałem na stawach położonych wśród lasów obficie porosłych trzciną i różnymi gatunkami specjalnych roślin wodnych. Tereny te to prawdziwe zacisze asylum dla wszelkiego rodzaju wodnych ptaków. Szczególniej tereny znanego z gościnności i uprzejmości p. W. Modzelewskiego (Pohulanka pod Myszkowem), gdzie korzystając z miłego zaproszenia gospodarza, polowałem, dały mi dość ładny rozkład, wśród którego znalazła się i czapla siwa, dość w tamtych stronach obfita.

Sympatycznych długodziobów, kszyków, pospolicie bekasami zwanych, w tym roku znacznie mniej stwierdziłem, niż w zeszłym, na tych sa-

---

rzucić cokolwieczek większe, ale nigdy nie mniejsze od dzikich kuropatewek.

Niemałą trudność stanowi odnalezienie stadka kuropatw w czasie lęgów. Niejednokrotnie, pomimo doskonałych wyżłów, powracałem z rannej wyprawy z mojemi kuropatewkami w koszyku do bażantarni, nie znalazłszy żadnego lub odpowiedniego stadka. W lipcu stojące jeszcze zboża utrudniają bardzo odnalezienie kuropatw. Trzeba w pogodne dnie wychodzić z psami do dnia i szukać po miejscach otwartych. Najczęściej zdarzało mi się spotykać młode przy starkach, na burtach rowów, na szerokich miedzach wśród pól, na górkach łącznych lub w młodych kulturach leśnych.

Tłomaczy się to tem, że w takich miejscowościach kuropatwy najłatwiej znajdują odpowiednie pożywienie (różne owady, jaja polnych mrówek i t.p.), a prócz tego starki wyprowadzają swoje pisklęta na miejsca otwarte i słoneczne, ażeby młode wysuszyły się i wygrzały na słońcu po rannej rosie. Oczywiście odszukanie stadka zależne jest bardzo od zwierzostanu kuropatwiego w danej okolicy.—

Nie zawsze udawało mi się sprawdzić naocznie, czy moje podrzucone kuropatewki przyłączyły się i odeszły razem z odnalezionem stadkiem.

Miałem jednak szczęście zobaczyć to kilka razy i jedno z takich wydarzeń opowiedzieć pragnę.

Mając już zapas wylęgniętych kuropatewek, wybrałem się z mojemi wyżłami o ile pamiętam, w ostatnich dniach lipca, do bażantarni w Stefance, by pierwszej próby dokonać.

Oczekujący mnie strzelec Andrzejewski zabrał do koszyka, wysłanego pierzami, około trzydziestu kilko-dniowych kuropatewek i o 5-ej zrana, wyruszyliśmy w pole.

Po dobrej godzinie poszukiwań, psy raptownie stanęły na rżysku pomiędzy ustawionemi kupkami ze snopów świeżo zebranego żyta. Podszedłem blisko i dojrzałem nie dalej jak na jakie cztery kroki, dwie starki siedzące przy sobie z rozłożonemi skrzydełkami. Nie miałem wątpliwości, że tak twardo dotrzymujące ptaki, muszą siedzieć na młodych.

Andrzejewski przytrzymał psy za obroże, a ja podszedłem do kuropatw tak blizko, że można było nakryć je kapeluszem. Gdy wyciągnąłem rękę, zerwały się z wielkim hałasem. Starka i kogut tłukły mi się pod nogami, broniąc swoich piskląt, które poprzewracane podniosły się i zaraz jak martwe, przywarły do ziemi. Młodek tych z pstremi jeszcze łepkami naliczyłem około 16-tu sztuk, były akurat takie, jak moje z bażantarni. Nie zwlekając więc, zagarnąłem obu rękoma z koszyka kilkanaście kuropatewek i podrzuciłem pomiędzy dzikie. Niektóre z nich pozostały na miejscu, inne odeszły niedalej jak o dwa kroki i ukryły się w ściernisku.

Ostrożnie wycofałem się z tej gromadki, żeby nie zdeptać którego z piskląt, i wraz z Andrzejewskim ukryliśmy się w najbliższej kopce żyta tak, żeby móc dobrze obserwować miejsce, w którem pozostawiliśmy kuropatewki. Postanowiłem pozostać tak długo, zachowując

mych terenach. Około 5-10 lipca napotykałem kilkakrotnie samiczki kszyków siedzące na jajkach. Okazuje się więc, że rozpoczynanie polowania na tego rodzaju zwierzynę z dniem 1 lipca, stosownie do obecnie obowiązującej ustawy (Dz. Ust. 1920 r. Nr. 63 poz. 422) jest niekiedy terminem zbyt wczesnym, z ujmą dla tych ptaków,-należałoby przeto postarać się w sferach kompetentnych o przesunięcie czasu ochrony na ptaki wodne i błotne do dnia 15 lipca,-tak jak było dawniej za czasów panowania Rosjan. Dubeltów i bekasików w tych stronach od szeregu lat nie spotykam.

Wielką plagą naszej zwierzyny błotnej i przelotnej są nasi sympatyczni pastuszkowie, którzy pasąc bydło, skrzętnie uwijają się po łąkach i bagnach w poszukiwaniu jaj kaczych, względnie bekasich. Szkodnicy ci jak dotąd zupełnie bezkarnie operują, stale rokrocznie tępiąc tym sposobem moc ptactwa. Czyby nie było sposobu ukrócić tego rodzaju występną działalność młodej generacji naszych zdemoralizowanych kmieci? Sądzę, że organa policyjne mogłyby przy dobrych chęciach okazać w tym kierunku skuteczną pomoc; należałoby tylko, aby odnośne władze (starostwa) dały im odpowiednie dyrektywy z rygorem wykonawczym i aby oczywiście prawo, w razie wykrycia wykroczeń, obchodziło się z winnymi jaknajsurowiej. Ponieważ trudno niejednokrotnie byłoby karać nieletnie dzieci, mojem zdaniem, należałoby w danym razie pociągać do surowej odpowiedzialności rodziców dzieci, niszczących ptactwo.

Należy spodziewać się, że na skutek odnośnych starań poczynionych w sferach miarodajnych prawodawstwo nasze uzyska wreszcie, zreformowane w jaknajbardziej ostry sposób, kary na kłusowników,- co nader dodatnio wpłynie na ogólny nasz zwierzostan, stojący dziś na bardzo niskim poziomie.

BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI.

GŁUSZEC.

(Monografja)

c. d.

ROZDZIAŁ VI

Zmiana opierzenia u starych kogutów, tracenie igieł u nóg. Choroby i wycieńczenie. Miejsce pobytu. Szkodniki. Zmiana miejsca i zachowanie się latem.

ZMIANA OPIERZENIA

Początek lenienia rozpoczyna się u starych głuszców od tracenia igieł u palców. Przypada to w drugiej połowie tokowania i jest oznaką zbliżania się końca godów weselnych.

Od tej chwili następuje najgorszy i najniebezpieczniejszy okres w życiu królewskiego ptaka. Głuszec sam wie o tem dobrze. Przenosi się wówczas w największe i najmniej dostępne gąszcza leśne, do największych błót i mokradeł. Nie mogąc dobrze latać, a przez kilka dni zupełnie pozbawiony możności władania skrzydłami, przebywa cały ten okres siłą konieczności na ziemi. Staje się też wówczas łatwą zdobyczą lisów, wałęsających się psów i wogóle wszelkich szkodników. Sam proces zmiany opierzenia przechodzi też nie zawsze łatwo i dobrze. Często w ciągu kilku najcięższych dni ptak traci apetyt, staje się apatyczny, siedzi napuszony, bezwładny i naturalną śmiercią umiera. U głuszców w niewoli decyduje ten okres zwykle o dalszem ich życiu. Przypuszczam, że to samo, w mniejszym może stopniu zdarza się i wśród głuszców w dzikim stanie.

Czas lenienia trwa koło dwu miesięcy, a najostrzejszy okres przypada w drugiej połowie czerwca. W końcu lipca kogut nabiera siły, opuszcza błotniste gąszcze i przechodzi na bory, gdzie go już czekają dojrzewające jagody.

Zmiana piór u kury przechodzi mniej ostro, następuje po wysiedzeniu młodych i miarowo, nie pozbawiając jej ani na chwilę możności latania, trwa do pierwszych dni października. W

---

największą ciszę, żeby koniecznie doczekać się rezultatu tej pierwszej próby. W tym czasie stara kura gdzieś się ulotniła, ginąc nam z oczu, -natomiast kogut nie dawał za wygraną. W odległości kilkunastu kroków biegał, podskakiwał, opuszczając skrzydełka i czirikał bez ustanku. Wiedział on dobrze, gdzie jesteśmy ukryci, bo co chwilę zrywał się i zapadał nam pod same nogi, odchodząc potem majestatycznie z rozczapierzonym ogonkiem i łepkiem do góry podniesionym tak, jak gdyby chciał nas wywabić i odprowadzić z miejsca obserwacji.

Manewry dzielny nasz kogut powtarzał kilkakrotnie, wreszcie odleciał i już nie powrócił.

Wkoło nas cisza kompletna zaległa. Czekałem spokojnie, co dalej będzie. Młode kuropatewki jakgdyby wymarły,- żadna nie drgnęła i nie dojrzeć nic było można.

W ciszy tej przebywaliśmy dobrą godzinę. Zacząłem się już niepokoić, czy aby starki powrócą, gdy naraz ujrzałem kurę, jak chyłkiem zbliżała się do nas.

Biegła powoli, ukrywając się w trawach z łepkiem przy ziemi. Gdy była już przy pisklętach, zakwokała dziwnym głosem, którego u kuropatw nigdy jeszcze nie słyszałem. Coś w rodzaju odzywania się kury cietrzewiej na toku. Na magiczny ten głos ujrzałem jednocześnie ze 30 główek kuropatewek, które jakgdyby z pod ziemi wyrosły. Wstały wszystkie razem na ten tajemniczy głos matki, wspinając się na pazurkach i wyciągając szyjki do góry.

Podniosły się jak z letargu wszystkie: i dzikie i moje podrzucone. Starka wabiąc wabiąc cichutko, oddalała się, a za nią wyciekało całe, liczne stadko,— Ostatni wynosił się stary kogut, który niewiadomo skąd się znalazł. Szedł buńczucznie jakby na straży z wielką fantazją. Miałem wrażenie, że ogląda się, czy my aby z kopy żyta nie wypadniemy i nie narobimy nowego bigosu. Czuł on dobrze, że siedzimy w ukryciu, widząc, co się dzieje, nie starał się jednak chować przed nami, ufny widocznie, że jego rodzinie krzywdy nie zrobimy.

Cała ta scena w słonecznem oświetleniu była rzeczywiście czarująca. Z kopy snopków żyta wyszliśmy dopiero w chwili, kiedy kuropatwy odeszły tak daleko, że straciliśmy je z oczu. Psy zakopane w życie spały w najlepsze, a ja stałem wprost uniesiony cudnym obrazkiem, jaki przed chwilą widziałem.

Podczas innych porannych wypraw, podrzucałem kuropatewek tyle, żeby ogół nie przenosił razem 35 do 40 sztuk, i najczęściej szedłem dalej, pozostawiając stadko własnemu losowi. Raz jeden znalazłem przy stadku trzy starki: kurę i 2 koguty, a że piskląt było tylko sześć, dorzuciłem jej trzydzieści!

W ten sposób ulokowałem z moimi ludźmi około 150-ciu kuropatewek. Że rezultat był dobry, przekonałem się we wrześniu, spotykając w znanych mi miejscach ogromne stada, o wiele liczniejsze od normalnych.

Z pozostałych jaj wylęgło się w bażantarniach około 600 sztuk,- wychowało - nie więcej jak 300 — Kuropatwy te długi czas trzymały się po

zupełnem zimowem opierzeniu jest stary kogut w drugiej połowie września, a nawet w początkach października, kura zaś dopiero w końcu października.

ROZDZIAŁ VI

JESIENNY ŚPIEW, CZAS I MIEJSCE.

Gdy stary kogut już zakończy zmianę opierzenia, sokarmi się na jagodach, nabierze sił i znów poczuje się zdrów i wesół, śpiewa w piękny pogodny poranek jesienny nie gorzej niż wiosną.

Najlepszy czas jesiennego śpiewu przypada u nas, w Ziemi Wileńskiej, w pierwszej połowie września, w dnie pogodne i jasne, gdy pajęczyna już przelatuje w powietrzu, a na błotach rankami następują pierwsze przymrózki. Śpiewają głuszce zwykle w miejscach wiosennych tokowisk, tak bliskiem ich sąsiedztwie. Śpiew w ciągu tych krótkich dni bywa często o tyle dobry i regularny, że polowanie może mieć pewne szanse powodzenia. Na tokowisku, na którem wiosną śpiewało zrana po 10 kogutów, w jesieni o tym czasie można usłyszeć od 1 do 3. Śpiew zaczynają znacznie później niż wiosną, zwykle przed samym wschodem słońca i śpiewają, aż się ono wysoko podniesie.

Tak samo jak wiosną, ptak głuchnie w czasie szlifowania i wogóle sam śpiew o tej porze niczem się nie różni od śpiewu wiosennego.

Takich dni jest w ciągu całej jesieni bardzo niewiele — powtarzam, dnie te przypadają na pierwszą połowę września, kiedy ranki już chłodne, a dnie słoneczne i ciepłe.

O wykorzystaniu jesiennego śpiewu w celach łowieckich trudno orzec coś stanowczego. W jednym tylko wypadku można szczęścia próbować z niewielkiemi szansami powodzenia, a mianowicie, w czasie polowania na rykowisku łosi, na który to czas przypada zwykle najlepszy śpiew głuszca. O ile więc jest gdzie w pobliżu dobre tokowisko, a dobrze już rozedniście i szanse spotkania rogala spadną do zera, to w jasny i cichy poranek może myśliwy poświęcić resztę czasu na odszukanie głuszca. Największą trudność sprawia tu brak jakichkolwiek pewnych wskazówek, gdzie należy ptaka szukać. Tak jak wiosną podsłuchać go nie można, głuszec bowiem nie usadawia się głośno i nie pilnuje jednego miejsca: pozostaje więc tylko kierowanie się znajomością terenu i tokowiska z polowań wiosennych, a że głuszce tylko do pewnego stopnia w tym czasie trzymają się tych miejsc, przy cichym śpiewie znaleźć ptaka bywa nadzwyczaj trudno.

ROZDZIAŁ VII

CHOROBY GŁUSZCÓW. ALBINIZM.

O chorobach głuszców wiemy bardzo mało. Na to potrzeba badań i studjów, a zanim ludzie na to się zdobędą, z naszych krajowych głuszców pozostaną tylko wypchane w muzeach. Obecnie można tylko twierdzić stanowczo, że jakimś chorobom epidemicznym ulegają te ptaki. Obserwowałem to raz w naszym rodzinnym majątku w Ziemi Wileńskiej, było to w roku 1897. Polując w sierpniu, poczułem w kilku miejscach wstrętny zapach gnijącego mięsa, przypuszczałem początkowo, że powoduje to pewien gatunek grzybów, które podobną woń wydają. W jednym wypadku zapach był tak silny, że zwątpiłem, by go powodować mogły grzyby. Kierując się wówczas powonieniem, odnalazłem nieżywego głuszca. W ciągu tego dnia wykryłem zwłoki kilku ptaków. Wszystkie, sądząc z układu piór, kości, a czasem i ciała, umierać musiały w pozie siedzącej, w jakiej zwykle przebywa każdy chory ptak. Skutki tej choroby były straszne: z pięknego zwierzostanu głuszców, jaki był w tych lasach, na wiosnę pozostały tylko dwa tokowiska. W tym czasie nie podlegało ptactwo domowe żadnej chorobie, a tylko parę lat przedtem chorowały indyki. Choroba ta objawiała się puchnięciem głowy, ropieniem oczu i zupełnym bezwładem. Była ona nadzwyczaj zaraźliwą i zawsze śmiertelną. W moim majątku wyginęło wówczas w ciągu jednej jesieni 90 proc. indyków. W żadnym podręczniku weterynaryjnym opisu tej choroby nie znalazłem.

Wypadki występowania albinizmu u głuszców, powiedziałbym, daleko są częstsze, niż u cietrzewi pomimo, że cietrzewi spotyka się u nas co najmniej 15 do 20 razy więcej, niż głuszców, znam tylko dwa wypadki albinizmu u cietrzewi, natomiast wiem o trzech wypadkach albinizmu u głuszców.

Jeden częściowy albinos został zabity przez hr. Zyberg-Platera w okolicach Dynaburga, dwa inne były upolowane w puszczy Rudnickiej pod Wilnem. Jednego w dowód cenienia rzadkiego wybryku natury zjadł pan leśniczy, urzędnik rosyjski; drugi egzemplarz został wypchany i wywieziony przez leśniczego niemca. Obadwa głuszce były zabite w jednem i temsamem uroczysku „Pokrempie".

ROZDZIAŁ VIII

SKRZEKOT (TETRAO MEDIUS).

Mieszańce głuszca z cietrzewiem, tak zwane skrzekoty, spotykają się rzadko. Nawet w rewirach, w których się trzymają obok głuszców cietrzewie, a ustosunkowanie ilościowe kur do kogutów u obu gatunków jest normalne lub tylko zbliżone do normalnego, wypadki krzyżówek należy uważać prawie za wykluczone. Przypuszczam, że tylko w wypadkach, gdy w zwierzostanie głuszcowym zbraknie kogutów, głuszyca podlatuje do cietrzewia. To też sądzę, że skrzekoty pochodzą, jeżeli nie wyłącznie, to w znakomitej

---

zaroślach przy wylęgarni, później powyciekały w przyległe pola.

Były jednak na wpół oswojone, trzymały się w jednem stadzie i rzywać się nie chciały. Na Starej Wsi, obok Stefanki, spotkałem je w gromadzie około siedmdziesięciu sztuk. Wyciekały bez końca. Zniecierpliwiony, pobiegłem kłusa, żeby je spłoszyć zerwały się, ale o 100 kroków znów zapadły.

Takie kuropatwy lepiej jest wystrzelać, bo zimy nie przetrzymają i są zbyt łatwą zdobyczą dla wszelkich drapieżników.

Dziś dla sztucznego chowu kuropatw znany jest sposób łatwiejszy, o wiele prostszy i niezawodny. Należy mieć tylko pomieszczenie (najlepiej wolierę) dla przejmowania kogutów kuropatwich, w które zaopatrzyć się trzeba. Koguty te na jajach siedzieć nie będą, ale kiejś drewnianej klatce.

Jeżeli kogut po niedługim czasie przysiądzie i zgromadzi pisklęta pod skrzydełka, to pewne już, że stadko przyjmuje i wodzić będzie. Zaraz tedy można go z pisklętami wynieść i puścić w pole.

Nie wszystkie jednak koguty adoptują przybrane dzieci i dlatego, jeżeli się ma sporo jaj, należy mieć zawsze kilka kogutów w zapasie.

Świetny ten pomysł, jest wynalazkiem pana Łazara (znanego łodowcy z dóbr Krośniewickich, który ten sposób z bajecznymi rezultatami corocznie stosuje.

STANLI ;

większości wypadków, z pokrycia głuszycy przez cietrzewia.

Głuszec dla odtokowania cieciorki jest za duży, a przytem gdzie tylko są głuszce, tam zawsze trzymają się w sąsiedztwie cietrzewie, i cieciorka, słysząc głośne bełkotanie prawowitego małżonka, przypuszczam, nie będzie się upędzać za głuszcem. Krzyżówki śród dzikich ptaków przeważnie powstają nie z powodu pewnych osobliwych zboczeń, a na skutek pobudzonego i nie zaspokojonego płciowego popędu u którejkolwiekbądź płci w braku drugiej sobie właściwej.

W jednym wypadku spotkania przezemnie skrzekotów, to moje przypuszczenie najzupełniej się sprawdziło. W moim łowieckim rewirze, w którym przed wojną trzymały się głuszce i cietrzewie, w pierwszym roku po wojnie nie śpiewał ani jeden głuszec, natomiast z powodu znacznego wyniszczenia lasów przez rosyjskie wojska i powstałej, dużej przestrzeni wyrębów, zwiększyła się znacznie ilość cietrzewi. Z kilku pozostałych tam głuszyc, na których opierałem moją nadzieję zaprowadzenia nanowo głuszcowego zwierzostanu, nie wszystkie dały właściwe potomstwo. Jedna z nich tylko domyśliła się wylecieć z rewiru na czas tokowania i odszukać w sąsiednich lasach głuszca, gdy dwie pozostałe kwoktały przez całą wiosnę na miejscu byłego głuszcowego tokowiska, a potem wysiedziały dwa stadka skrzekotów, w których było pięć kogutów.

O istnieniu w moim rewirze skrzekotów dowiedziałem się dopiero na wiosnę, gdy koguty zaśpiewały. Spotykając je kilkakrotnie w zimie, zawsze brałem je za głuszce, dziwiło mnie tylko, że trzymały się albo śród stada cietrzewi, albo w bardzo blizkiem ich sąsiedztwie.

Zachowanie skrzekotów wiosną było osobliwe. Na początku wiosny zaczęły śpiewać w pobliżu tokowiska głuszcowego i jak głuszce na drzewie, a na tokowisko cietrzewi przelatywały dopiero po wzejściu słońca, - zaś w końcu toków trzymały się już wyłącznie tokowisk cietrzewi. Usposobienie miały w najwyższym stopniu wojownicze; po przylocie i zajęciu miejsca śród cietrzewi rzadko zaczynały śpiewać, a natychmiast atakowały śpiewające koguty. Cietrzewie ich się bały i po krótkich próbach stawiania oporu odlatywały z tokowiska.

Pieśń tych skrzekotów składała się z trzech zwrotek: dwóch pierwszych zupełnie jednakowych i bardzo przypominających „chrapanie" ciągnącej słomki, oraz trzeciej, trwającej dłużej i chociaż również stanowiącej pewien rodzaj „chrapania", to jednak o rożnem napięciu i z głośniejszem „skrzypnięciem" w samym końcu. Ten głos nie był podobny ani do śpiewu głuszca, ani do bełkotania cietrzewia, a stanowił coś całkiem swoistego i oryginalnego. Charakter pieśni tylko, składający się z trzech zwrotek, przypominał pieśń głuszca, a całość śpiewu, zupełnie jak u głuszca, stanowiła szereg oddzielnych i całkiem wyraźnie zakończonych pieśni, następujących jedna po drugiej. Po szeregu tych pieśni, zupełnie jak głuszce, robiły skrzekoty mniej lub więcej długie pauzy i zaczynały na nowo.

Pieśń ta była znacznie głośniejszą, a więc i dalej dosłyszalną, niż pieśń głuszców: już o 600-700 kroków można ją było rozpoznać, a o 200 kroków wyraźnie rozróżnić poszczególne zwrotki, w stosunku zato do czasu trwania była znacznie krótszą i trwała zaledwie 3 i pół—4 sekundy, czyli akurat tak długo, jak głuszce szlifują.

Śpiewały skrzekoty na drzewie i w pozie, jaką przybiera głuszec w czasie klapania, czyli z wyciągniętą w górę szyją, podniesionym i rozpostartym wachlarzem i z lekka rozpuszczonemi skrzydłami, robiąc zupełnie wrażenie głuszców i z postawy niczem nie przypominając cietrzewi. W czasie zaś wykonywania pieśni już je można było z łatwością odróżnić od głuszców, mianowicie, gdy głuszce, przechodząc do szlifowania, wyciągają naprzód szyję, a podnoszą wachlarz i drżą w tej chwili, tak, że nawet rusza się ta gałęź, na której siedzą, skrzekoty były sztywne i najmniejszym ruchem nie akcentowały śpiewu. To też oglądając je z daleka, a nie słysząc ich głosu, nie można wywnioskować, czy siedzą one cicho, czy śpiewają, gdy obserwując w tych warunkach głuszca lub cietrzewia, tak łatwo to rozpoznać po ruchach.

Z tych kilku skrzekotów upolowałem jednego, pozostawiając resztę przy życiu w celu dalszej ich obserwacji.

Opierzenie zastrzelonego, za wyjątkiem nóg, które były całkiem głuszcowe, nie było więcej w żadnej części ciała o cechach stałych głuszca lub cietrzewia, a wszędzie było albo przepołowione, albo tylko z przewagą któregokolwiek gatunku, albo jak na piersi, szyi i grzbiecie całkiem oryginalne.

Wachlarz i skrzydła były nawpół od cietrzewia nawpół od głuszca, brzuch więcej głuszcowy, kuper szaro—fioletowy, tarcza na piersi o mocnym, metalowo—fioletowym połysku, szyja u spodu ciemno - fioletowa, z góry szara z fioletowym odcieniem, dziób czarny. Opierzenie skrzekotów, które oglądałem w różnych muzeach i zbiorach, było cokolwiek odmienne od opierzenia skrzekota upolowanego przezemnie, dotyczy to szczególnie spotkanych w zbiorach Ryskiego T-wa myśliwskiego; jeden z nich miał wachlarz cietrzewia, przy skrzydłach głuszca, gdy inny, akurat odwrotnie, posiadał wachlarz głuszca przy ciemnych skrzydłach cietrzewia.

Wzrostem kogut skrzekot dosięga głuszycy, waga jego wynosi od 2.25 kg. do 2.9 kg. a wymiar od dzioba do końca wachlarza od 75 do 85 cmt.

O kurze trudno jest orzec coś stanowczego, ze względu na zbliżone opierzenie głuszycy do cieciorki, jest ona do nich bardzo podobna; to też trudno ją rozpoznać bez zastrzelenia, co bardzo utrudnia obserwację jej życia.

(c. d. n.)

W. WIĘCKOWSKI.

Wspomnienia myśliwskie z lat ubiegłych.

Coraz bardziej już w Polsce, pomimo ochrony, znikają olbrzymie niegdyś lasy, zmieniając stopniowo zewnętrzny wygląd kraju, a wraz z lasami giną i odwieczni ich mieszkańcy, czy to z gatunków drapieżnych, jak niedźwiedź, wilk, lis lub borsuk, czy też mniej lub zupełnie nieszkodliwych, jak dzik, żubr, bóbr i łoś, które wojna, a przedewszystkiem wzmożone i bezkarne prawie kłusownictwo zmiotły niemal doszczętnie z powierzchni ziemi. Jedynie wilki na Kresach nietylko że nie zostały wytępione, lecz przeciwnie, rozmnożyły się niezwykle wskutek zwiększenia się zagajników i niedostępnych miejsc w okopach, pozostałych po wojnie.

Powstało wiele projektów ratowania zwierzyny od ostatecznej zagłady, zanim jednak projekty owe zostaną urzeczywistnione, należałoby koniecznie zaopatrzyć większe zbiory przyrodnicze w kraju w okazy ginącej fauny polskiej, (o czem nie zatroszczyli się w swym czasie właściciele ogromnych nieraz przestrzeni leśnych, nie doceniając widocznie kulturalnego znaczenia zbiorów przyro-

dniczych) aby młodzież nasza mogła podziwiać zwierzęta, które zapełniały olbrzymie dawniej w Polsce lasy, z którymi człowiek pierwotny musiał zacięte staczać walki z początku dla obrony, potem dla korzyści, aż nareszcie zaopatrzony w broń palną, wyparł je i pokonał ostatecznie tak, iż obecnie tylko nazwy miejscowości, jak Turowice, Łoś, Niedźwiedzice i wiele bardzo innych przypominają ludziom o pierwotnem pochodzeniu nazw, a nieraz i o groźnych przygodach myśliwskich, które też stopniowo giną i zacierają się w pamięci ludzkiej.

Niewątpliwą jest rzeczą, iż tak pięknie opisana rymem przez nieśmiertelnego Wieszcza naszego, scena z polowania w ks. IV Pana Tadeusza, nie jest bynajmniej płodem fantazji Mickiewicza, lecz zaczerpniętą być mogła, z pamiętników szlachty, podań i gawęd ludu lub najprawdziwszych zdarzeń lat ubiegłych, a że nie zawiera przesady w opisaniu chwil niebezpiecznych,w jakie obfitują polowania na grubego zwierza wogóle, a na niedźwiedzia w szczególności, świadczyć może zdarzenie, jakie zaszło w kilkadziesiąt lat potem, w tym samym powiecie Nowogrodzkim, które ze względu na niezwykłe tło ze szczegółami opisuję.

Ks. Tadeusz Wojciechowski, proboszcz w Krzywoszynie pow. Nowogródzkim, nie mógł pomimo stanu duchownego pozbyć się żyłki myśliwskiej. Zawsze go coś ciągnęło do lasu, tambardziej, że t. zw. Puszcza Rzepichowska, leżąca w znacznej części w jego parafji, słynęła z obfitości najrozmaitszych zwierząt. Były tam: wilki, lisy, borsuki, rysie, dziki, łosie, bobry i różne drobne gatunki. Trafiały się też od czasu do czasu niedźwiedzie, na które administracja hr. Potockich urządzała huczne polowania przy udziale kilkudziesięciu strzelców i przy obławie z paru wsi okolicznych. Pewnego razu — a było to w końcu zimy — zapowiedziano polowanie na niedźwiedzie w rewirach Kul i Bielowo, na południowych krańcach powiatu, na samej granicy Polesia. Ponieważ polowanie wypadło w dzień Popielcowy, przeto ks. W. wcześniej niż zwykle, odprawił nabożeństwo i co koń wyskoczy, pomknął do Bielowa. Gdy przybył na miejsce, polowanie już się rozpoczęło. Łowczy, czyli kierownik polowania i nadleśny, nie mając czasu do stracenia postawił go na pierwszem lepszem stanowisku, nie przejmując się zanadto osobą spóźnionego myśliwego. Po długiej, nużącej ciszy, jaka zwykle poprzedza osaczenie zwierza i właściwe rozpoczęcie polowania, rozległo się echo trąby i pojedyńcze szczekanie gończych, a wkrótce potem cała zgraja „zagrała" jednym miarowym akordem i, otoczywszy półkolem zwierza, podszczuwana przez dojeżdżaczy, parła go ku linji strzelców, właśnie w stronę, gdzie stał świeżo przybyły myśliwy. Nagle w pobliżu, tuż obok rozległ się strzał sąsiada, a w chwilę potem z gęstwiny leśnej wynurzyło się olbrzymie cielsko niedźwiedzia. Ksiądz w mgnieniu oka zmierzył i wypalił, lecz tylko lekko ranił niedźwiedzia. Wówczas rozjuszony zwierz podniósł się na tylne łapy i runął już wprost na przerażonego księdza, który po chwili znalazł się w jego straszliwych objęciach. „Ludzie ratujcie"—rozległo się wstrząsające do głębi duszy wołanie nieszczęśliwego. Przerażeni strzelcy porzucali stanowiska, śpiesząc na pomoc rozszarpywanemu żywcem, nikt jednak nie odważył się strzelać, ponieważ niedźwiedź wraz ze swą ofiarą tworzyli jedną szamotającą się masę. Wkrótce nadbiegli chłopi obławnicy i z wielką trudnością zażgali oszczepami rozszalałe zwierzę. Pławiącego się w kałuży krwi księdza wydobyto z oskalpowaną głową, pogryzionego i poszarpanego, straszliwie, ledwie dającego słabe oznaki życia. O żadnej pomocy lekarskiej na miejscu w lesie nie było mowy, to też ostrożnie ułożono go na saniach i przywieziono do najbliższej wsi, Święcicy, gdzie zmarł wkrótce z upływu krwi i straszliwych ran, budząc swą śmiercią żal powszechny i niezwykłe wrażenie w okolicach, a opuszczona płyta grobowa na cmentarzu w Krzywoszynie świadczy dotąd o tragicznym zgonie księdza myśliwego.

DR. ALFRED SANDER.

De lege ferenda.

(c. d.)

Otóż właśnie na podstawie powyższego projektu hr. Tarnowskiego sądzę, że do umiarkowanej ochrony dzika wystarczyłoby zupełnie, by nie dając mu legalnego w ustawie czasu ochrony, nie dopuścić tylko do zamieszczenia w niej przepisu, nakładającego obowiązek jego bezwzględnego tępienia, wtedy bowiem tak M. T. Ł. jak również C. Zw. P. St. Ł. i inne zespoły kultury łowieckiej będą mogły podjąć się skutecznie zaproponowanej przez hr. Tarnowskiego akcji, a los dzika złożonym będzie w doświadczone ręce samych myśliwych.

Sądzę jednak, że propozycje hr. Tarnowskiego powinny być złagodzonemi w tym kierunku, by na nikogo nie ściągały hańby myśliwskiej zastrzelenia dzika lub dzików, jakiejkolwiek wielkości i płci, skoro je przyłapano na gorącym uczynku robienia szkody w ziemiopłodach, obawiam się bowiem, że bez takiego rozgrzeszenia wielu zresztą bardzo dobrych myśliwych, ale będących równocześnie właścicielami ziemi, nie zdecyduje się podpisać deklaracji ochrony dzika, bo może im w oczach stać będzie podobna scena, jak ta, jaką w „Roku myśliwca" Wincentego Pola w wydaniu drezdeńskiem z r. 1870 przedstawia Gorazdowskiego rycina, wyobrażająca stada dzików przewałowujących w ucieczce łan zboża po strzałach, które je w lipcową noc księżycową z tego łanu wypłoszyły. Zamieszczenie takiego dodatku w przyszłych deklaracjach ochrony dzika stępi też znacznie ostrze reakcji, z jaką w razie wprowadzenia projektu w czyn zawsze liczyć się trzeba.

Tę właśnie reakcję możliwą na myśli mając, pozwolę sobie w tem miejscu dla projektów przyszłej ustawy łowieckiej zaproponować pewną myśl słuszną i sprawiedliwą, którąby, w razie jej przeprowadzenia, opinję publiczną mogła wogóle przychylniej usposobić dla naszego łowiectwa, a więc nie tylko w tej jednej sprawie dzików.

W obowiązującej dziś w Małopolsce ustawie łowieckiej jej rozdział V czyli §§ od 60 do 66, traktują o „szkodach wyrządzonych przez polowanie i przez zwierzynę" zaś rozdział VI czyli §§ od 67 do 78 o „postępowaniu z powodu szkód wyrządzonych". Nie będę oczywiście szczegółowo przedstawiał treści tych postanowień, gdyż przeważna ilość czytelników z Małopolski przepisy te zna dokładnie, dla czytelników zaś z innych dzielnic wystarczy, gdy powiem ogólnie, że za szkody przez zwierzynę wyrządzone odpowiadają uprawnieni do polowania w granicach swoich okręgów myśliwskich, i że o wynagrodzeniu szkód orzekają sądy rozjemcze, do których przewodniczących i zastępców ustanawiają władze polityczne na trzy lata, a do których obie strony t. j. żądający wynagrodzenia i pozwany o wynagrodzenie, mianują ad hoc do każdej sprawy swych mężów zaufania. O ile zresztą wiem, podobne przepisy, z grubsza biorąc, obowiązują i w innych dzielnicach.

Jest jasne, że uprawniony do polowania, pociągnięty do odpowiedzialności za szkodę, broni się przed tą odpowiedzialnością bardzo energicznie, kwestjonuje prawie zawsze, czy szkoda wyrządzona została wogóle przez zwierzynę i czy przez zwierzynę przez niego hodowaną, czy też przez zwierzynę z sąsiedniego rewiru wychodzącą, jakkolwiek ta ostatnia jest w ustawie, acz nie bardzo sprawiedliwie przesądzoną bezwzględną odpowiedzialnością „za szkody w granicach swego okręgu myśliwskiego"; kwestjonuje on dalej jeszcze energiczniej wysokość szkody, w czem mu nawet pomocnym jest § 73 ustawy, który dozwala mu żądać powtórzenia komisyjnego zbadania szkody przed zbiorem plonów, aby „wysokość rzeczywistej szkody mogła zostać trafnie osądzona".

Oczywiście, że cały ten przewód rozjemczy ze swej natury ciężki, wywołuje niezadowolenie obu stron, a szczególnie poszkodowanego, który słusznie lub niesłusznie będzie się najczęściej czuł pokrzywdzonym, zwła-

szcza, jeżeli należy do sfer włościańskich, a przewodniczącym sądu jest inteligent, a gorzej jeszcze sam myśliwy.

Otóż czy ową jedną z najtrudniejszych tak społecznie jak nawet prawniczo, kwestji prawa łowieckiego nie byłoby lepiej załatwiać odpowiedzialnością, że tak powiem, kolektywną sfer myśliwskich. Wyobrażałbym sobie rzecz w ten sposób, by z opłat za karty na broń myśliwską, za karty myśliwskie, z grzywien za przekroczenia ustawy łowieckiej, ewentualnie z pewnych procentowych dodatków do czynszów dzierżawnych lub innych opłat, gdyby się okazała potrzeba ich ustanowienia, utworzono

(c. d. n.)

MYŚLIWY W PARANIE.

Zmarły przedwcześnie ś. p. Tadeusz Chrostowski, szef naukowej wyprawy do Parany, o której zamieściliśmy krótkie sprawozdanie w pierwszym numerze naszego pisma, wydał przed wyjazdem z Warszawy książkę p. t. „Parana" (Poznań. 1922. Nakładem księgarni Ś-go Wojciecha), w której opisał w sposób wysoce zajmujący i barwny swe pierwsze dwie wyprawy do Brazylji.

W ciągu opowiadania znajdujemy także i szczegóły z wycieczek myśliwskich naszego nieodżałowanej pamięci podróżnika, którego śmierć spotkała w chwili, gdy rozpoczynał swą powrotną do kraju podróż. Sądzimy, że te szczegóły zainteresują czytelników naszych, i z tego względu przytaczamy je poniżej.

Jedyną zwierzyną myśliwską z pośród ssaków były w Antonio Olyntho*) sarny. W Paranie znajdują się dwa gatunki sarny: mniejsza (około 45 ctm. wysokości) Mazama nemorivaga i większa, zwana przez Brazyljan „viado pardo" (Mazama rufa) — około 65 ctm. wysokości. Ta ostatnia barwy brunatno-rudej, jest pospolitsza. Pierwsza spotyka się wyłącznie, wśród dziewiczych lasów, zaś „viado pardo" znajduje się wszędzie, zarówno w gęstwinie leśnej, jak i w miejscach otwartych. Zbliża się też do siedzib ludzkich, wyrządzając znaczne szkody zwłaszcza na plantacjach kukurydzy i czarnej fasoli, skąd wyjada młode roślinki. Spotykałem je tylko pojedyńczo. Nie umiem wytłumaczyć przyczyny, dlaczego zwierzę to, aczkolwiek bardzo płochliwe, w pewnych chwilach nie objawia żadnej bojaźni przed człowiekiem. Nigdy nie zapomnę zdarzenia, jakiego byłem świadkiem na drodze, prowadzącej z „sede" Guarany do rzeki Iguassu. Wracałem z miasteczka bez żadnej broni, gdy spostrzegłem biegnącą naprzeciwko sarnę. W miarę zbliżania się sarna zwalniała biegu i wreszcze stanęła tuż przede mną. Nie wiedziałem co uczynić: czy ją pogłaskać, czy też złapać za uszy. Nagle, jak gdyby przypomniała sobie o czemś niezmiernie ważnem, a zapomnianem w domu, sarenka zawróciła i pomknęła przede mną. Po pewnym czasie usłyszałem strzały, puściłem się tedy do zakrętu drogi i ujrzałem następującą scenkę: uciekająca ode mnie sarna spotkała się znowu z człowiekiem, tym razem jednak był to kolonista, uzbrojony w przedpotopową jakąś rusznicę, i z racji drożyzny amunicji nader rzadko robiący z niej użytek. Doskonała jednak i obfita pieczeń, która mu sama właziła w ręce, rozpaliła w nim ogień Nemroda. Atoli z pośpiechu i łatwo zrozumiałego wzruszenia chybił. Sarenka zatrzymała się jak wryta. Myśliwy majstruje koło swej rusznicy, celuje długo i pilnie, wreszcie strzela ponownie. Efekt był nieoczekiwany i niezmiernie komiczny: sarenka podskoczyła, lecz zamiast uciekać zbliża się jeszcze do niefortunnego strzelca. Znowu strzał i sarenka podsuwa się jeszcze bliżej. Tego było już za wiele biedakowi: skręcił pośpiesznie w boczną ścieżynkę i zmykał w popłochu przed złym duchem, który przybrał postać nadobnej sarenki.

W Antonio Olyntho nie urządzano polowań na sarny, czasami tylko któryś z kolonistów, zniecierpliwiony jakąś dotkliwą szkodą, zaczajał się ze strzelbą wieczorem w zasadzkę na szkodnika i zdarzało się, że wracał do domu, uginając się pod ciężarem pięknej zwierzyny; przeważnie jednak, zmarnowawszy kilka wieczorów, zniechęcał się niepowodzeniem i dawał za wygraną.

W wielkich lasach Vera Guarany kaboklé*) urządzali bardzo często polowania z naganką na paki (Coelogenys paca) i sarny. Polowania odbywały się w pobliżu rzeki Iguassu przy pomocy psów, które wytropiwszy sarnę, goniły ją głosem, jak nasze ogary. Po pewnej, zazwyczaj dłuższej gonitwie, zmęczona pogonią sarna dopadała rzeki w nadziei, że po drugiej stronie uda się jej ujść pogoni. Tu jednak czatował już w pirodze brazylijskiej (canua), wyciosanej z jednego pnia imbui lub cedru, myśliwy, i ponieważ sarna płynie nader powoli, bez wysiłku dopędzał ją, chwytał za uszy, topił pod wodą i wyciągał na brzeg.

Każde polowanie ma swój urok, na mnie jednak ten rodzaj polowania sprawiał niezbyt miłe wrażenie, szczególniej, gdy rozlegał się rozpaczliwy głos schwytanego zwierzęcia, łudząco podobny do głosu męczonego dziecka.

Pośród ptaków na nazwę zwierzyny zasługują kusaki (Tinamidae). Większy ich rodzaj — kuropatwa-kusak, lub kusak rudy (Rhynchotus rufescens)[2]) — zamieszkuje wyłącznie bagniste błonia, ożywiając w godzinach wieczornych pustkowie pięknym, donośnym głosem. Polowanie odbywać się może jedynie przy pomocy wyżła, który zwierzynę tropi i „wystawia", zupełnie jak u nas kuropatwy. Lot tych ptaków jest nader ciężki i powolny, to też stanowią doskonały cel do strzału; jedynie grząskie moczary, wśród których zwierzyna przebywa, utrudniają polowanie. Brazyljanie, nieposiadający umiejętności strzelania w lot ptaków, z polowania tego nie korzystają, aczkolwiek doskonałe, nader delikatne i jakby przezroczyste mięso stanowi łakomy i pożądany kąsek.

Jak wszystkie kusaki, kuropatwy te niosą przepiękne, jakby polerowane, jaja, które składają wprost na ziemi. Po zniesieniu jaj dalsza opieka przechodzi na samca, który je wysiaduje, z czego korzystając, płocha samiczka wchodzi powtórnie w związki małżeńskie. Niestety, miejscowy zwyczaj palenia traw właśnie w porze lęgowej szybko wytępi tę jedyną „szlachetną" zwierzynę.

Leśne kusaki (Crypturus obsoletus), nieco mniejsze od poprzednich, trafiają się nawet w najbliższem sąsiedztwie siedzib ludzkich, zdradzając swą obecność, podobnie jak kuropatwa-kusak, donośnym i pięknym głosem. Lot ich jest równie ciężki i słaby, to też zrywają się bardzo niechętnie, chyba gdy się podejdzie bardzo blizko i niespodzianie; zazwyczaj jednak umykają pieszo, nader zręcznie wyzyskując na ukrycia wszelkie nierówności terenu, krzaki i kępy chwastów, to też upolowanie tych ptaków jest niezmiernie trudne. Jedynie zaobserwowany przeze mnie ich zwyczaj spacerowania po deszczu po ścieżynach leśnych daje sposobność zdobycia pieczeni, nie gorszej niż z kuropatwy-kusaka.

Dalej znów znajdujemy szczegóły spotkania z jaguarem.

W dalszej drodze trafiłem na miejsce, gdzie w roku

---

*) Antonio Olyntho osada nad Rio Negro w południowej części Parany. (Przyp. Redakcji).

*) W Brazylji „Kaboklami" nazywają się miejscowi koloniści (autochtoni) — Przyp. Red.

[2]) Przypominamy, że ten właśnie gatunek starano się zaaklimatyzować w Anglji, we Francji oraz w Niemczech w początkach naszego wieku (Przyp. Red.).

1911 miałem przygodę z jaguarem. Drapieżnik, przywędrowawszy gdzieś z głębi kraju, obrał sobie legowisko w pobliżu mej chatki. Kilkakrotnie widywałem jego potężną sylwetkę, przemykającą o zmroku wśród gęstych zarośli. Ponieważ atoli nie miałem koni, ni bydła, nie było powodu do sprzeczki między nami, i trwało jakby milczące porozumienie. W innem jednak położeniu byli odlegli moi sąsiedzi, kabokle. Widząc ustawicznie szkody wśród swego dobytku, postanowili zgładzić rabusia, zwrócili się tedy do mnie o pozwolenie na urządzenie polowania z psami na moich gruntach, na co wszakże zgodzić się nie mogłem, nie mając zbyt wielkiego zaufania zarówno do celności ich strzałów, jak i do odwagi psów i ludzi. Obawiałem się, jak sądzę — słusznie, że podrażnione zwierzę wywrze na mnie swą zemstę.

Pewnego wieczoru wracałem z wycieczki bardzo późno. Noc była ciemna, bezksiężycowa. W gęstwinie leśnej panował mrok nieprzenikniony, posuwałem się ścieżyną po omacku. W pewnej chwili, towarzyszący mi pies zawarczał głucho i skulony począł cisnąć mi się do nóg, jakby szukając opieki. Zrozumiałem, że w pobliżu znajduje się jakiś wielki drapieżnik: jaguar lub puma. Nie było sposobu uniknąć spotkania, ciemność bowiem dezorjentowała mnie zupełnie. Wziąłem psa na ręce i, posuwając się powoli, niosłem drżące stworzenie przez niebezpieczne miejsce. Coś jakby się poruszyło tuż obok: gałęzie wielkiego krzewu uderzyły mnie po głowie. Może to puhacza lub sowę wystraszyło moje nadejście?.. Nazajutrz raniutko, zaintrygowany przygodą, pobiegłem na to miejsce. Świeżutkie odciski olbrzymich łap jaguara i resztki spożytego capivary tuż obok moich śladów świadczyły niezbicie, że ucztował tu mój sąsiad. Widocznie, zajęty wieczerzą, nie zwrócił na mnie uwagi. Mogłem go jednak w ciemności potrącić, a wtedy zapewne nie byłby tak wyrozumiały.

dok. nast.

Wścieklizna u psów.

W celu wystrzegania się ukąszenia przez wściekłego psa jest wskazana wielka ostrożność przy zbliżaniu się do nieznanych psów, gdyż w ten sposób powstaje najwięcej wypadków zarażenia się wścieklizną. Choroba bowiem zwierzęcia, wskutek długiego stadjum objawów pierwszych, może ujść naszej uwagi, gdyż zdrowy pies ukąszony przez chorego, dopiero po dłuższym czasie objawia widocznie wściekliznę.

Podczas kilkudniowego stadjum inkubacji zwierzę nie budzi swem zachowaniem podejrzenia. Właściwy początek choroby rozpoczyna się również objawami mało znaczącymi. Pies staje się kapryśny, usposobienie jego zmienia się, pies chudnie i rozpoczyna się ślinić. Te symptomata przechodzą później w stadjum wybuchu wściekłości. Pies wściekły kąsa osoby mu znane i nieznane, a nawet martwe przedmioty. Zamiast zwykłej żywności, połyka drzewo, słomę i inne przedmioty, niedające się strawić. Równocześnie daje się zauważyć, że przy każdej okazji chce zbiec. Ponieważ psy w tem stadjum tracą zmysł orjentacyjny, przeto odbiegają daleko i pojawiają się w okolicach odległych. Pies wściekły kąsa nietylko psy i ludzi, ale także inne zwierzęta domowe, i zakaża je swym jadem.

Po ataku wścieklizny trwającym kilka dni, następuje stadjum porażenia tylnych nóg, poczem pies zdycha. Należy znać te symptomy, ażeby ocenić niebezpieczeństwo ukąszenia. Jeżeli po ukąszeniu pies żyje tydzień, mamy pewność, że jadu wścieklizny jeszcze nie posiadał. U człowieka choroba objawia się inaczej, na pierwszy plan występują przejawy porażenia, a często brak objawów szału wścieklizny. Choroba kończy się zawsze śmiertelnie. Dotychczas nie obserwowano wypadku wyleczenia. Lekarze korzystają z czasu, pomiędzy ukąszeniem, a wybuchem wścieklizny, aby zastrzykiwać limfę Pasteura, czyniąc człowieka odpornym przeciw jadowi. Tym sposobem ocalono życie tysiącom ludzi. Jedynym środkiem ochronnym jest u nas trzymanie i wodzenie psów na smyczy. W Anglji dzięki temu wściekliznę zupełnie wytępiono. W interesie własnym i ogólnym należy się stosować jaknajściślej do zarządzeń policyjnych co do trzymania psów na uwięzi.

Pierwsza strzelnica w Warszawie.

Przygotowania do olimpjady strzeleckiej, a następnie jej przebieg, dobitnie wykazały, że po za brakiem nieznanej u nas specjalnej broni turniejowej, najbardziej dawała się odczuć niedostateczna ilość fachowo urządzonych strzelnic, do stępnych dla szerszych warstw.

W Polsce sytuacja jest tego rodzaju, iż sportowi strzeleckiemu oddawać się mogą bez przeszkód jedynie wojskowi, korzystający ze strzelnic garnizonowych. To też na olimpjadzie reprezentowali nas wyłącznie prawie przedstawiciele armji, podczas gdy zwycięzcy zawodnicy Stanów Zjednoczonych, Szwajcarji, Francji i innych krajów byli głównie „cywilami". Ale też w krajach powyższych każde, najmniejsze nawet miasteczko posiada wzorowo urządzone strzelnice, dostępne dla wszystkich.

Polska stoi pod tym względem, niestety, bardzo znacznie w tyle. Ilość publicznych strzelnic, zresztą nieszczególnych, jest minimalna; stolica nie posiada żadnej.

Pragnąc chociaż w części naprawić istniejący stan rzeczy i przyczynić się do rozwoju sportu strzeleckiego wśród szerszych warstw społeczeństwa, Polskie Towarzystwo Łowieckie w Warszawie podjęło uruchomienie wzorowej strzelnicy.

Strzelnica powyższa istniała jeszcze przed wojną; korzystali z niej członkowie P.T.Ł. Obecnie przebudowano halę według najlepszych wzorów europejskich.

Mierzy ona 36 mtr. długości i 7 mtr. szerokości. Słowem, teren dla broni małokalibrowej pierwszorzędny.

P.T.Ł. nosi się z zamiarem zorganizowania jeszcze w roku bieżącym szeregu konkursów strzeleckich, z których pierwszy będzie turniejem o mistrzostwo Warszawy.

Polskiemu Towarzystwu Łowieckiemu za jego inicjatywę w kierunku rozwoju mizernego u nas sportu strzeleckiego, należą się słowa prawdziwego uznania.

Zwolennicy tego sportu, których w stolicy bardzo wielu, przywitają konkretny krok P. T. Ł. z nieklamanym entuzjazmem.

* * *

Strzelanie do celu tak zaniedbane w Polsce, a w szczególności w b. zaborze rosyjskim, zostało nareszcie zapoczątkowane w stolicy.

Polskie T-wo Łowieckie dzięki inicjatywie i niestrudzonej energji członka Rady, ś.p. Stefana ZŁOTNICKIEGO, urządziło w gmachu swoim w Warszawie przy ul. Nowy-Świat 35, strzelnicę, do strzelania ze sztucerków i pistoletów małokalibrowych. Strzelnica ta urządzona jest w zamkniętym budynku, z doskonałem światłem dziennem, jak i elektrycznem do strzelania wieczorem. Piękny i szlachetny ten sport dostępny jest obecnie dla szerokich kół. Jesienią i zimą większość ćwiczeń i sportów uprawianych na wolnem powietrzu, ustać musi, zaś strzelanie w strzelnicy trwać może stale, niezależnie od pory roku, dnia i pogody. Nie wymaga również kostjumów, ani przyrządów.

Sztucerki i pistolety są na miejscu, dostępne jest również używanie własnej broni. Ceny bardzo przystępne, lokal miły i wygodny, położony w śródmieściu, a zatem uprawianie sportu strzelania jest ułatwione. Strzelnica taka jest niezbędną, gdyż strzelając do celu, można przyswoić sobie sposób prawidłowego składania się z broni i określenia dystansu strzału. W krótkim czasie będą urządzone tam cele ruchome i wówczas można będzie wyrobić sobie zdanie o przykładności broni.

Za granicą, jak również w Wielkopolsce i Małopolsce, sport strzelania do celu traktowany jest bardzo poważnie. Interesują się też nim szerokie warstwy społeczeństwa. Mjejmy więc nadzieję, że ta pierwsza strzelnica zadowolni wymagania Stolicy i będzie impulsem do rozwoju tego sportu. Urządzane będą także konkursy dla młodzieży szkolnej.

Cz. L.

NOWE KSIĄŻKI.

Inż. Leś. J. Rafalski, prof. Uniwersytetu Poznańskiego. **„Z aktualnych zagadnień, dotyczących lasu polskiego".** Str. 77. Nakład Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Aktualność poruszonych zagadnień, które muszą zainteresować nietylko leśników polskich, ale ekonomistów, prawników, członków naszych ciał ustawodawczych i nawet szersze warstwy społeczeństwa, jest rzeczywiście duża, jeżeli przyjąć pod uwagę, że praca składa się z dwu studjów: 1) Projekt reformy państwowego Zarządu Lasów i 2) Koncesja na eksploatację Puszczy Białowieskiej.

Autor, po rozpatrzeniu ogólnych właściwości lasu i gospodarstwa leśnego, szczegółowo analizuje niedawno uchwaloną reorganizację Zarządu lasów na przedsiębiorstwo państwowe i podaje gruntownie opracowany, własny projekt potrzebnej reformy.

Kalendarz myśliwski.

We **wrześniu** wolno jest polować, o ile uprzednio nie wyszedł dekret ministerjalny (dla b. Kongresówki), dekret Wydziału obwodowego (dla b. Zaboru Pruskiego) lub władzy powiatowej (dla Małopolski):

W b. Kongresówce: na łosie (byki), na jelenie (byki), na daniele (byki), na rogacze, na cietrzewie (koguty, kury i młode), na jarząbki, (koguty i kury), na bażanty (koguty, na kury tylko w tych miejscowościach, gdzie są urządzone i prowadzone bażantarnie), na słonki, na dzikie kaczki (kaczory, kaczki i młode), na dzikie gęsi, na łabędzie, na żórawie, na siewki, na dubelty, na kszyki, na bekasiki, na derkacze, na bataljony, na kuligi, na dzikie gołębie i na drozdy (kwiczoły i parkoty).

W b. Zaborze Pruskim: na jelenie (byki), na daniele (byki), na rogacze, na borsuki, na cietrzewie (od 16 września), na jarząbki (od 16 września), na bażanty, koguty i kury (od 16 września), na kuropatwy, na przepiórki, na pardwy szkockie, na dzikie kaczki, na bekasy, na dropie, na łabędzie, na żórawie, na kuligi, na derkacze oraz na wszelkie inne ptactwo błotne i wodne, z wyjątkiem dzikich gęsi (?), a na kwiczoły od 21 września.

W Małopolsce: na kozły, na jelenie (byki), na jarząbki, na cietrzewie (koguty), na głuszce (koguty), na kuropatwy, na bażanty (koguty i kury), na przepiórki, na dzikie gołębie, na dropie, na strepety, na kszyki, na dubelty, na kulony, na bataljony, na dzikie gęsi i na dzikie kaczki.

Uwaga. Przepis ten nie stosuje się do polowań urządzanych w zamkniętych zwierzyńcach.

Na Kresach (według Ustawy „Zakon ob ochotie 3 fewrala 1892 goda)": na łosie (byki), na jelenie (byki), na rogacze, na głuszce, koguty i kury, na cietrzewie, koguty i kury, na słonki, na dzikie gęsi i łabędzie, na dzikie kaczki, na bekasy, na dubelty, na bekasiki, na kuligi, na czajki, na derkacze i na wszelkie inne wodne i błotne ptactwo, na kuropatwy, na bażanty, na zające, na dropie, na strepety i na przepiórki.

Sprostowanie.

W ostatnim numerze pisma naszego wskutek nieuwagi zecera przepuszczono cały jeden wiersz w kalendarzu myśliwskim na m. sierpień a mianowicie ten, w którym mowa o otwarciu polowania na kuropatwy i przepiórki w d. 21 sierpnia.

Drobiazgi myśliwskie.

Obławy na wilki. Dnia 10 sierpnia urządziło Wileń. Tow. Myśl. pierwszą w bieżącym sezonie obławę na wilki na terenach Tow. Myśliwskiego w puszczy Rudnickiej. Zabito dwa stare, piękne okazy samców, z których jednego zabił major Dobeszyński, drugiego dyr. Landsberg. Jest to radosna wiadomość o zabiciu dwóch szkodników czworonożnych, którym celne strzały naszych nemrodów przerwały zbrodniczą działalność w trzodach i zagrodach tamtejszych mieszkańców.

W okolicy Niemenczyna, odbyła się obława na wilki, organizowana przez nadleśnictwo niemenczyńskie. Zabito 3 sztuki, a 2 wilki, ciężko ranne narazie uszły. Urządzenie poważnych obław na wilki jest konieczne, ponieważ zatrważająco się rozmnażają.

Mistrzostwo armji w strzelaniu. W Toruniu 31-go lipca odbyły się na poligonie oficerskie zawody strzeleckie zespołami o mistrzostwo armji polskiej. Do zawodów stanęło dziesięć zespołów po jednym od miejsce zdobył 25 piotrkowski pułk piechoty (D. O. K. 4), osiągając 525 punktów, drugie miejsce--67 brodnicki pułk piechoty (D. O. K. 8) 485 punktów, 3-cie miejsce — 76 pułk piechoty (D. O. K. 3) — 440 punktów.

Słoń poznański. Wielką stratę poniósł poznański Ogród Zoologiczny. Zmarniał chorujący od dłuższego czasu na cierpienie w nodze słoń-olbrzym ulubieniec publiczności poznańskiej—„Mały Kon". Z chronicznego cierpienia w nodze wywiązała się gangrena, później zapalenie płuc i tak zakończył życie olbrzym-staruszek-słoń. Anatomowie uniwersyteccy z pomocą kilku ludzi dokonali poćwiartowania i cielsko na czterech platformach przewieziono do Uniwersyteckiego Zakładu Anatomji na Wildze. Dokonał tam szczegółowej sekcji prof. dr. Różycki ze swoim asystentem, p. Wigą. Mięso ze względu na chorobę i upał było całkowicie bezużyteczne. W preparacie anatomicznym zachowano serce, mózg, wagi około 5 klg., kawałek skóry grubości 2—3 cm., główną wenę (aore) w śred. 5 cm. Cienkie kiszki jelit mierzą 25 cm., grubych 15 m. Napełniony żołądek mierzy 1.80 m. Wielki kieł, wydobyty przy pomocy chirurgicznego zabiegu waży 14 kg., otwór, w którym się mieścił nerw zęba, wynosi w średnicy 5 cm., szerokość zęba w średnicy 19 cm., wysokość 80 cm. Szkielet słonia wysokiego przeszło trzy metry, zostanie zestawiony dla celów naukowych. Olbrzym ważył przeszło 4.000 klg. Liczący około 90 lat słoń nabyty został przez Ogród Zoologiczny w roku 1913 za cenę 3.000 mk. od cyrku „Sarasaniego", bawiącego wówczas w Poznaniu. Zgon „Małego Kona" wywołał prawdziwy żal, zwłaszcza, że trudno będzie Ogrodowi Zoologicznemu, walczącemu z powszechnemi trudnościami, zastąpić syna Indyj odpowiednim okazem.

Odlew żubra i dawne polowania. Na dziedziniec zamkowy w Warszawie przywieziono naturalnej wielkości

odlew z żelaza, żubra, który był ustawiony w zwierzyńcu białowieskim na pamiątkę carskiego polowania za czasów panowania Aleksandra II. Żubr wykonany jest artystycznie, szkoda tylko, że nie odlany z bronzu. Oprócz żubra przywieziono dwie tablice pamiątkowe z tego polowania, które były wmurowane w cokuł pomnika. Tablice świadczą, że car oprócz wszelkiej innej zwierzyny zabił sześć żubrów, a orszak jego 16. Jednocześnie z temi moskiewskiemi pamiątkami przywieziono do Warszawy z puszczy białowieskiej resztki potrzaskanej tablicy na pamiątkę łowów królewskich z czasów Jana Sobieskiego. Na tablicy są wymienione osoby, które w orszaku królewskim brały udział w łowach. Tablica jest wykuta w kamieniu po polsku, lecz nie ma dat, a wogóle szerokość jej została znacznie uszczuplona, przez co wiele szczegółów w napisie zniknęło. Tablicę tę moskale rozmyślnie zniszczyli, lecz odnaleziono ją i sprowadzono do Warszawy.

Czem się żywią wrony. Niechęć do wrony datuje się od bardzo dawna, gdyż jest ona wielkim szkodnikiem nietylko zasiewów, ale i ptactwa. To też bywa tępiona na każdym kroku. Pewien lekarz amerykański, zajmujący się przez dłuższy czas badaniem życia wrony, dowodzi jednak, że jest ona stworzeniem zasługującem na ochronę, gdyż zjada gąsienice i pędraki niszczące zasiewy. Swego czasu wspomniany lekarz zabił kilka wron, które chodziły po polu zasianem, i w żadnej z nich nie znalazł ani kawałeczka ziarna, lecz same gąsienice i pędraki. Tak samo przyrodnicy, badający życie wrony, twierdzą, że nigdy jej nie widzieli rabującej gniazda, natomiast widzieli nieraz niebieską sójkę, wyjadającą jajka innych ptaków.

ZA REDAKTORA: **Jan Sztolcman** WYDAWCA: **Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.**

Druk. Nakładowa. Warszawa, Hortensja 7. Tel. 216-60